

Dwaj jeźdźcy wyłonili się spośród drzew, wyjeżdżając na polanę.

Tutaj, w Teutonii, u stóp gór, wiosnę dawało się dostrzec o wiele wyraźniej, niż na wyżynach pozostałych za nimi. Trawy już się zieleńiły i tylko gdzieś tam, w miejscach przez większość dnia zacienionych, białe rozległe plamy śniegu.

Ktoś, kto przypadkiem ujrzałby owych jeźdźców, zwróciłby prawdopodobnie uwagę, że każdy prowadzi zapasowego wierzchowca. Z pewnej odległości wzięłyby ich zapewne za kupców, którzy pragnęli jak najwcześniej przekroczyć przełęcz prowadzącą do Skandii. Mogli teraz akurat liczyć na spore zyski. Bowiem w krainie odciętej przez całą zimę od reszty świata każdy przedsiębiorczy przyjezdny właśnie wczesną wiosną miał prawo liczyć na korzystniejsze niż kiedy indziej ceny przywożonych towarów.

Jednak gdyby ów hipotetyczny ciekawski przyjrzał się obydwu jeźdźcom z nieco bliższego dystansu, zorientowałby się szybko, że ma do czynienia nie z handlarzami, lecz obserwuje dwóch uzbrojonych wojowników.

Niższego, brodacza, spowijał dziwaczny, zielonoszary płaszcz, mieniący się w dość szczególny sposób, zwłaszcza kiedy jeździec poruszał się zgodnie z rytmem swego wierzchowca. Brodacz dysponował długim łukiem przerzuconym przez ramię, a do siodła przytroczył kołczan wypełniony strzałami.

Jego towarzysz prezentował się bardziej krzepko i wyglądał na młodszego. Jego kark oraz ramiona okrywał brązowy, prosty płaszcz, na którym połyskiwała kolczyca zbroja. Spod płaszcza wychylała się pochwa długiego miecza. Na plecach jeźdźca był umocowany okrągły puklerz, przyozdobiony dość nieudolnie wymalowanym liściem dębu.

Wierzchowce też się od siebie różniły. Wyższy ze zbrojnych dosiadał potężnego gniadosza, mocnego bojowego rumaka o długich nogach, krzepkim zadzie i mocarnej piersi. Za nim, na uwięzi, szedł stępa drugi, zbliżonej postury, lecz maści karej.

Natomiast wierzchowiec, którego dosiadał brodacz w pelerynie, wywodził się z całkiem innej rasy – kudłaty, o beczułkowatym tułowiu, bardziej przypominał kucyka niż wierzchowca. Tyle że prawdziwy znawca stwierdziłby bez chwili wahania, iż jest to z pewnością koń silny i bardzo wytrzymały. Z tyłu stępował drugi, całkiem podobny konik, objuczony niezbyt ciężkimi sakwami, zawierającymi tylko przedmioty najpotrzebniejsze w trakcie długiej podróży. Co ciekawe, zwierzak wyraźnie nie potrzebował uprzęży, by dreptać za swym panem niczym wierny pies.

Horace zadarł głowę, usiłując spojrzeć na wierzchołek najwyższej turni spośród piętrzącego się przed nimi ogromu. Zmrużył nieco oczy, bowiem oślepił go blask słońca odbitego od śniegu, który wciąż zalegał wyższe partie górskiego pasma.

– I co, naprawdę przejedziemy szczytami? – spytał, pełen niedowierzania.

Halta zerknął na niego z ukosa, chyba nawet uśmiechnął się lekko pod wąsem. Jednak Horace nie zauważył spojrzenia Halta, wpatrzony w piętrzące się majestatycznie góry.

– Szczytami? – powtórzył zwiadowca. – Skądże znowu. Doliną.

Horace zmarszczył brwi, rozważając odpowiedź.

– Jest jakiś tunel albo co?

– Przełęcz – wyjaśnił cierpliwie Halt. – Następnie spotkamy wąski przesmyk, wijący się pośród gór. Nim dotrzemy do serca Skandii.

Towarzysz Halta potrzebował chwili lub dwóch, by przetrwać informację. Następnie Halt dojrzał, że ramiona młodzieńca uniosły się, bo chłopak wziął wdech. Zwiadowca dobrze wiedział, że stanowi to nieomylną zapowiedź kolejnego pytania. Zamknął oczy, wspominając dobre czasy, odległe jak dawne wieki, gdy przemierzał świat samotnie i nie musiał wciąż wszystkiego wyjaśniać.

W skrytości ducha musiał przyznać, że obecny stan rzeczy chyba bardziej mu odpowiada. Jednak czekając na owo kolejne pytanie, musiał zapewne wydać z siebie jakiś niekontrolowany, poirytowany pomruk, bowiem, ku jego zdumieniu, Horace zacisnął usta, a na obliczu młodzieńca pojawił się wyraz determinacji. No tak, chłopak wyczuł zniecierpliwienie i postanowił, że oszczędzi Haltowi kolejnej serii pytań. Przynajmniej do czasu.

W rezultacie Halt zaczął zachodzić w głowę, czegoż to takiego Horace chciał się bezzwłocznie dowiedzieć. Coś przecież pozostało niedopowiedziane i wciąż wisiało w powietrzu. Niedopowiedzenie zakłócało rześką harmonię pięknego poranka. Próbował zignorować to uczucie, ale bez powodzenia. Akurat teraz jednak Horace potrafił zdusić w sobie niepoahamowaną zazwyczaj potrzebę zasięgania języka u swego towarzysza. Halt odczekał minutę, jednak nie doszedł go żaden odgłos, prócz stukotu końskich kopyt i skrzypienia skórzanej uprzęży. W końcu nie wytrzymał:

– No, co?

Wypowiedział pytanie głośniejsze i gwałtowniejsze, niż zamierzał; krótka kwestia rozbrzmiała niczym wybuch niezrozumiałego gniewu. Wrzasnął o wiele za głośno, bo gniadosz Horace'a spłoszył się i cofnął zaleknioty o kilka kroków.

Horace rzucił starszemu mężczyźnie spojrzenie pełne wyrzutu, uspokoił wierzchowca i znów zrównał się z Haltem.

– Co z czym? – spytał, a wówczas niższy od niego towarzysz podróży westchnął ciężko.

– O to właśnie pytam – rzekł z irytacją w głosie. – Co takiego?

Horace popatrzył na niego jak na kogoś, kto ze szczętem postradał zmysły. Osiągnął tyle, że Halt rozżościł się jeszcze bardziej.

– Co jakiego? – zdumiał się Horace, nic już nie pojmując.

– Przestań mnie przedrzeźniać! – wrzasnął Halt. – Przestań powtarzać za mną!

Pytałam: „co?”, więc powiedz mi co. Zrozumiałeś?

Horace rozważał w myśli pytanie przez chwilę lub dwie, po czym odparł rzeczowo:

– Nie.

Halt wziął głęboki wdech, przy czym jego brwi utworzyły krzaczastą literę V, a oczy zaczęły ciskać gniewne iskry. Nim wszakże się odezwał, Horace uprzedził go:

– To znaczy, co za „co”? – a następnie, by wyrazić się jaśniej, sprecyzował: – To znaczy, dlaczego „co”?

Nadludzkiem wysiłkiem, odzyskując panowanie nad sobą, acz bynajmniej nie kryjąc przy tym własnej irytacji, Halt wycedził:

– Chciałeś zadać mi pytanie.

Horace uniósł brwi.

– Tak?

Halt skinął głową.

– Owszem. Widać to było po tobie.

– Rozumiem – odrzekł Horace. – A jakie pytanie?

Halta zamurowało i to na dłuższą chwilę. Otworzył usta, zamknął je – otworzył znowu, nim zdołał wykrztusić:

– Właśnie o to cię pytałem – warknął. – Spytałem: „co?”, bo chciałem wiedzieć, o co chcesz mnie zapytać.

– Nie chciałem cię pytać o żadne „co” – obruszył się Horace, a Halt rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. Przyszło mu do głowy, że młodzieniec kpi sobie z niego w żywe oczy i w duchu śmieje się zeń do rozpuku. Jesliby tak rzeczy się miały, Halt wolałby nie znajdować się w skórze Horace'a. Nikt nie naśmiewa się bezkarnie ze zwiadowców. Jednak, spoglądając

na szczere oblicze chłopaka oraz wpijając wzrok w niewinne błękitne oczy, uznał, że zbytnio folguje swej wrodzonej podejrzliwości.

– A więc, jeśli wolno mi raz jeszcze użyć tego słowa, o co chciałeś mnie zapytać?

Horace zaczerpnął tchu, ale zawahał się.

– Zapomniałem – wyznał. – A o czym rozmawialiśmy?

– Nieważne – rzucił Halt i spiął Abelarda kolanami, by wysforować się o parę kroków przed swego towarzysza.

Przez jakiś czas pomrukiwał coś półgłosem sam do siebie, zresztą dość niewyraźnie, lecz Horace wyłowił z mruczenia zwiadowcy kilka gniewnych stwierdzeń, takich jak „dzisiejsza młodzież”, „pyta jeden z drugim, a nawet nie wie, o co” oraz „co, co...”. Pojął tyle, że Halt był bardzo niezadowolony z rozmowy, jaką przed chwilą odbyli. Ale nie pojmował, dlaczego. Miał niejasne poczucie winy, że powinien przecież pamiętać, o co chciał zapytać, i próbował cofnąć się myślami do początku rozmowy. Swoją drogą, dziwne. Halt miał mu za złe, że pytanie nie padło, a przecież zawsze pytania Horace’a tak go irytowały. Z tym zwiadowcą czasem trudno dojść do ładu – pomyślał młodzieniec. A potem, jak często się zdarza, gdy tylko przestał drażnić swą pamięć w poszukiwaniu zapomnianego pytania, od razu je sobie przypomniał. Tym razem, nim zdążył zapomnieć lub choćby ugryźć się w język, zawołał:

– A ile jest tych przełęczy?

Zwiadowca gwałtownym ruchem odwrócił się w siodle, by zgromić go spojrzeniem.

– Co? – wrzasnął.

Horace uznał, że lepiej będzie nie roztrząsać już zawiłości wiążących się z rzeczonym słowem. Wskazał ręką na piętrzące się przed nimi masywy górskie.

– Pytałem, czy wiele jest takich przejść prowadzących do Skandii.

Halt pohamował nieco Abelarda, pozwalając także Kickerowi zrównać się z nimi.

– Trzy albo cztery – odpowiedział.

– Skandianie ich nie strzegą? – zdziwił się Horace, bo na zdrowy rozum zdawało mu się, że powinni trzymać tam nieustanną straż.

– Oczywiście, że ich pilnują – rzekł Halt. – Ten łańcuch górski stanowi podstawową gwarancję bezpieczeństwa ich kraju.

– Jak więc zamierzasz uporać się ze strażami?

Właśnie. Odkąd ruszyli w drogę, zostawiwszy za sobą Chateau Montsombre, pytanie dotyczące sposobu ominięcia straży spędzało zwiadowcy sen z powiek. Gdyby był sam, bez trudu przekradłby się niepostrzeżenie; rzeczy jednak miały się całkiem inaczej, gdy podróżował w towarzystwie Horace’a, którego, jak Halt zdawał sobie sprawę, trudno będzie przemycić, nie wspominając już nawet o jego roslym wierzchowcu. Miał co prawda na podorędziu kilka pomysłów, ale żadnego dotąd nie wybrał.

– Coś wymyślę – rzucił, a Horace skwitował odpowiedź milczącym skinieniem głowy, w głębokim przekonaniu, iż, w rzeczy samej, Halt z pewnością coś wymyśli. W mniemaniu Horace’a tym właśnie powinni zajmować się zwiadowcy – myśleniem – a najlepszą rzeczą, jaką może uczynić rycerski czeladnik, jest nie przeszkadzać i zająć się swoją częścią zadania, to jest rozbijaniem po drodze łbów tym, którym łby rozbijać należało. Rozsiadł się wygodnie w siodle, zadowolony z losu, jaki przypadł mu w udziale.

Także Halt odetchnął, bo przestały go dręczyć wątpliwości związane z pytaniem, jakie chciał mu zadać Horace. Chyba że...

Mimo woli znów zaczął się zastanawiać, a wahania powróciły ze zdwojoną siłą. Czy więc padło pytanie, które chłopak początkowo zamierzał zadać, czy może zadał jakieś inne? Halt uznał, że musi tę sprawę wyjaśnić raz na zawsze.

– O to właśnie chciałeś spytać?

Nieco zaskoczony, Horace łypnął na niego.

– Co... – zaczął, ale ugryzł się w język i czym prędzej się poprawił: – To znaczy: słucham?

Halt znów westchnął ciężko.

– Chodzi mi o twoje pytanie, o pytanie o przełęcz. O to właśnie chciałeś mnie spytać przedtem? – rzucił tonem osoby, która zna właściwą odpowiedź, lecz na wszelki wypadek chce się upewnić.

– Chyba tak – odrzekł Horace z wahaniem. – Nie jestem już pewien, bo... tego, trochę się w tym wszystkim pogubiłem – zakończył niezręcznie.

Halt wysforował się do przodu, a do uszu Horace'a trafiły słowa zgoła nienadające się do powtórzenia.

Will ocknął się nagle. Od razu zdał sobie sprawę, że siedzi na ganku, grzejąc się w słońcu, i że znów zasnął. Zauważył, że ostatnio sypia bardzo wiele. Evanlyn twierdziła, że nic w tym dziwnego, bo przecież musi odzyskać siły. Zapewne miała rację.

Zresztą, niewiele było do roboty w chacie, która, odkąd uciekli ze skandyjskiej niewoli, służyła im jako tymczasowe schronienie. Zmył i wytarł naczynia po śniadaniu, później posłał łóżka i z nudów starannie poustawiał niezbyt liczne meble. Wszystko to zajęło mu ledwie pół godziny, więc zajął się kucykiem zamieszkującym przybudówkę. Wycesał mu sierść tak, że aż lśniła. Konik spoglądał na niego – i na siebie – z lekkim zdziwieniem. Pewnie dotąd nikt nie poświęcił tyle troski i czasu jego wyglądowi.

Potem Will już tylko snuł się bez celu po chacie i po małej polance, przyglądając się miejscom, w których zeszłoroczna trawa zaczęła wyglądać spod śniegu. Naszła go chęć, żeby sporządzić jeszcze kilka wnyków, ale zaraz potem odrzucił tę myśl. I tak mieli więcej pułapek, niż potrzebowali. Przygnębiony, w poczuciu własnej bezużyteczności, zasiadł na ganku, by czekać, aż wróci Evanlyn.

Chyba ciepłe promienie słońca sprawiły, że ponownie zapadł w drzemkę.

Gdy się na dobre przebudził, nie było już tak ciepło.

Zdał sobie sprawę, że słońce przemierzyło spory odcinek na nieboskłoniu i domek znajdował się obecnie w cieniu rzucanym przez sosny. Z pewnością minęło południe. Zmarszczył brwi. Przecież Evanlyn wyruszyła sprawdzać pułapki dobrze przed południem. Co prawda rozstawiali teraz wnyki dalej, ale i tak miała dość czasu, by do nich dojść, sprawdzić, co trzeba, i wrócić. Nie było jej co najmniej trzy godziny, a może i dłużej. Chyba że w międzyczasie nadeszła, zobaczyła, że śpi i nie chciała go budzić. Wstał, rozprostowując zeszywniałe stawy, i zajrzał do środka chatki. Nic nie wskazywało, by przyszła, kiedy on spał. Worka na zwierzynę oraz jej grubego wełnianego płaszcza nigdzie nie dostrzegł.

Will zaniepokoił się na serio. Przechadzając się tam i z powrotem po polance, zaczął się zastanawiać, co powinien właściwie zrobić. Żałował, że nie wie dokładnie, od jak dawna Evanlyn nie wraca, i beszał się w duchu, że usnął. Lęk ścisnął mu żołądek, gdy rozważał, co też mogło przytrafić się jego towarzysze. Istniało kilka możliwości.

Mogła po prostu się zgubić i obecnie błądzi pośród gęsto rosnących sosen, próbując odnaleźć drogę powrotną. Owszem, możliwe, lecz niestety mało prawdopodobne. Oznaczył ścieżki prowadzące do wnyków dyskretnymi znakami, a Evanlyn wiedziała, gdzie ich szukać. Może przytrafił jej się jakiś wypadek – na przykład przewróciła się i skręciła kostkę. Ścieżki miejscami wiodły stromiznami, po drodze nie brakowało rozmaitych muld oraz nierówności, toteż taka sytuacja zdawała się całkiem prawdopodobna. Może dziewczyna leży teraz w śniegu, nie daje rady wstać i jęczy z bólu, a przecież wkrótce zacznie zapadać zmierzch.

Trzecia możliwość była taka, że się na kogoś natknęła.

Niestety, każdy w tych górach okazałby się najprawdopodobniej ich wrogiem. A jeśli schwytali ją Skandianie?

Gdy Will o tym pomyślał, serce забиło mu gwałtownie. Wiedział, że ze zbiegłą niewolnicą nie obejdą się łaskawie. Erak co prawda już raz im dopomógł, lecz istniała niewielka szansa, by uczynił to powtórnie – nawet gdyby trafiła się po temu sposobność.

Snując ponure rozważania, przygotowywał się jednocześnie do poszukiwań. Napełnił jeden ze skórzanych bukłaków źródlaną wodą, którą przynosił codziennie do chaty, zgarnął kilka kawałków suszonego mięsa, które upchnął w podręcznym woreczku, po czym włożył wysokie buty, sięgające mu prawie do kolan, zasznurował je pospiesznie i sięgnął po wiszącą na haku przy drzwiach baranicę.

W gruncie rzeczy, najbardziej prawdopodobna wydawała się druga możliwość. To znaczy, Evanlyn z takiego czy innego powodu nie może chodzić. Nie przypuszczał bowiem, żeby pojмали ją Skandianie – po prostu nie mieli czego szukać w tej akurat okolicy. Jedynym rozsądnym powodem, by zapuszczać się w góry, było polowanie, tymczasem gruba zwierzyna wyniosła się stąd na czas zimy w niżej położone rejony. Komu zaś by się chciało przedzierać przez wysokie zaspę, wciąż zalegające większość dróg, by ustrzelić kilka nędznych królików? Zatem nie, najprawdopodobniej Evanlyn była względnie bezpieczna, choć przydarzyło jej się coś niedobrego. Jeśli więc nie mogła sama wrócić do domu, to – logicznie rzecz biorąc – najlepiej od razu założyć konikowi uzdę i go osiodłać. Kiedy bowiem odnajdzie Evanlyn, dziewczyna będzie mogła powrócić do chaty na jego grzbiecie. Co do tego, że ją odnajdzie, nie miał najmniejszych wątpliwości. Był już przecież wytrawnym tropicielem, choć może nie dorównywał jeszcze Haltowi czy Gilanowi. Natomiast odnalezienie śladu dziewczyny w śniegu wydawało mu się sprawą łatwą.

W końcu zdecydował się pozostawić konika w stajni. Kucyk robiłby niepotrzebny hałas, a coś podpowiadało Willowi, że na wszelki wypadek lepiej zachować ostrożność. Nie przypuszczał, by Evanlyn została przez kogoś pojmana, chociaż nie mógł również tego wykluczyć. Rozsądniej więc będzie poruszać się dyskretnie i wywęszyć, co istotnie zaszkodzi. Podjąwszy decyzję, zgarnął z łóżek koce i zwinął je w rulon, który zarzucił na ramię. Być może przyjdzie mu spędzić noc na dworze, lepiej więc być przygotowanym. Wrzucił do kieszeni hubkę i krzesiwo, leżące zazwyczaj przy palenisku.

Teraz był już naprawdę gotów do drogi. Zatrzymał się w drzwiach, by raz jeszcze rzucić okiem za siebie i rozejrzeć się po wnętrzu chaty. Chciał sprawdzić, czy nie znajdzie się tam coś jeszcze, co mogłoby mu się przydać. Mały myśliwski łuczek i kołczan ze strzałami leżały przy drzwiach. Tknęło go coś, więc schylił się, chwycił łuk, przerzucił go przez ramię. Wpadła mu do głowy jeszcze jedna myśl. Cofnął się do paleniska i wyciągnął osmoloną szczapę.

Na zewnętrznej stronie drzwi napisał wielkimi literami: „Poszedłem cię szukać. Czekaj tu na mnie”. Możliwe przecież, że Evanlyn zjawi się już po jego odejściu. Wtedy to ona zacznie go szukać, stwierdzając, iż Will gdzieś zniknął. Niepotrzebnie, bo skoro ona tu powróci, to i on z łatwością trafi z powrotem po jej śladach.

Zdjął z pleców łuk, poświęcił kolejnych kilka sekund, by założyć cięciwę. Przypomniał sobie słowa Halta: „Łuk bez cięciwy to tylko jeszcze jedna rzecz do dźwigania. Łuk naciągnięty to broń”. Skrzywił się. Ten akurat łuczek trudno było określić mianem broni. Nie miał jednak nic innego, prócz małego noża, który zatknął za pas. Na skraju polany odnalazł świeży trop Evanlyn. Ślady rozmazały się już trochę, bo ich krawędzie stopiło rankiem wiosenne słońce, wciąż jednak były wyraźne. Will ruszył, zagłębiając się w las równomiernym krokiem.

Bez trudu podążał śladem jej stóp. Rozpoczynając wędrówkę rankiem, zmierzała w stronę wyższych partii zalesionego masywu górskiego.

Will wkrótce musiał zwolnić. Nie był w stanie biec dłużej; zdał sobie sprawę, że wciąż jest w kiepskiej kondycji. Kiedyś potrafił przez całe godziny biec truchtem. Teraz zaś, po ledwie dwudziestu minutach, był zdyszany i wycieńczony. Przeklinając własną słabość, szedł dalej tropem Evanlyn.

Okazało się to tym łatwiejsze, że świetnie wiedział, dokąd dziewczyna zamierzała się udać. Przecież razem z nią zastawiał wnyki kilka dni wcześniej. Wtedy poruszali się wolniej i robili częste postoje, by on mógł odpocząć. Evanlyn uważała zresztą, że w ogóle nie powinien wypuszczać się aż tak daleko, lecz nie miała wyboru – sama nie potrafiłaby zastawić pułapek – a ściślej mówiąc, nie umiałaby znaleźć tych miejsc, które dawały największą szansę na schwywanie ofiary. Tymczasem Will, jako ekspert w dziedzinie przetrwania, potrafił odszukać i rozpoznać niedostrzegalne dla niej znaki, wskazujące ulubione żerowiska królików oraz ptactwa.

Jak stwierdził, rankiem Evanlyn dotarła do pierwszej pułapki po około czterdziestu minutach. Will pokonał tę samą odległość w godzinę i piętnaście minut, zatrzymując się tym częściej, im bardziej zbliżał się do wnyków.

Złościł się, bo wiedział, że z każdym postojem traci światło dzienne, ale nic nie mógł poradzić. Nie było sensu zmuszać się do nieustannego parcia naprzód i pod górę, jeśli miałyby go to przyprawić o skrajne wyczerpanie. Musiał zachować nieco sił, jeśli chciał zapewnić Evanlyn odpowiednią pomoc, kiedy ją odnajdzie.

Gdy dotarł do oznaczonego nacięciem drzewa, słońce zwisało nisko nad górskim grzbietem. Dotknął ręką kory i odwrócił się, by spojrzeć na ścieżkę wiodącą pośród sosen, gdy nagle ujrzał kątem oka coś, co sprawiło, że serce podeszło mu do gardła.

W śniegu dojrzał wyraźne odciski końskich kopyt, które nakładały się na ślady pozostawione przez Evanlyn. Ktoś więc jednak podążał jej tropem.

Zapomniawszy o zmęczeniu, Will, skulony wpół, pobiegł aż do miejsca, gdzie zastawili pierwsze sidła. Tu na śniegu zapisała się cała historia; Will opadł na kolana, by ją odczytać.

Po pierwsze: puste sidła. Evanlyn zastawiła je na nowo i wygładziła śnieg dookoła, po czym nasypała garstkę świeżego ziarna. We wnyki złapało się jakieś zwierzę. Potem ogarnął wzrokiem szerszą przestrzeń i zobaczył odciski stóp kogoś, kto się za nią skradał, podczas gdy ona klęczała, zaabsorbowana ponownym stawianiem wnyków, pewnie też zadowolona ze zdobyczy. Już przedtem zauważył, że ślady kopyt urywają się jakieś dwadzieścia metrów wcześniej. Bez wątplenia koń przyuczony został, by poruszać się jak najciszej – czyli zupełnie jak konie zwiadowców. Poczuł się nieswojo. Wróg, który dysponował tego rodzaju umiejętnościami, napawał go prawdziwym niepokojem – a teraz już wiedział, że napastnik na pewno jest wrogiem. Ślady nierównych zmagania między przybyszem a Evanlyn były aż nadto czytelne dla jego wyćwiczonego oka. Jakby widział mężczyznę – zakładał bowiem, że to mężczyzna – który bezgłośnie zaszedł dziewczynę od tyłu, chwycił ją i pociągnął, ona zaś wyrwała się z całych sił.

Znaki na śniegu jasno informowały, że Evanlyn szarpała się i kopała. Potem nagle walka ustała i już tylko dwie wąskie koleiny towarzyszyły śladom wroga, który powrócił do swego wierzchowca. Koleiny wyżłobione zostały jej piętami wtedy, kiedy napastnik włókł ją, nieprzytomną.

Nieprzytomną, czy nieżywą? Na samą myśl przeszył go zimny dreszcz. Jednak otrząsnął się stanowczo.

Po co tamten miałby ją zabierać ze sobą, gdyby ją zabił? – zastanowił się. Niemal uwierzył we własną logikę, ale wciąż w żołądku czuł nieznośny ucisk. Dopadł go strach, kiedy wracał końskim tropem do głównej ścieżki, a potem w kierunku przeciwnym niż ten, z którego przybył.

Dobrze przynajmniej – pomyślał – że zabrałem koce. Czekąca go długa, mroźna noc. Pochwalił sam siebie, bo nie zapomniał i o łuku, choć nadal żałował innego łuku, rzeczywiście solidnego, lecz utraconego bezpowrotnie, kiedy podchodził Skandian w Celtii, przy spalonym moście. Żywił bowiem graniczące z pewnością przeczucie, że w najbliższym czasie broń będzie mu bardzo potrzebna.

Tamta broń była bez porównania lepsza niż słaby, myśliwski łuczek.